

EDYTA ŚWIĘTEK

DŻENTELMENI
ZIEMI
GALICYJSKIEJ

W CIENIU NIEWOLI

© Wydawnictwo WAM, 2026

© Edyta Świętek, 2026

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculewicz

Redakcja: Monika Orłowska

Korekta: Katarzyna Onderka, Magdalena Koch

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-4818-8

MANDO

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

mando.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255

e-mail: handel@wydawnictwomando.pl

Druk i oprawa: POZKAL • Inowrocław

Publikację wydrukowano na papierze Ecco book cream 70 g vol. 2.0
dostarczonym przez Antalis Poland Sp. z o.o.

Spis treści

Od autorki	5
Powiązania rodzinne bohaterów powieści	7
ROZDZIAŁ I	
Zwierciadło	II
ROZDZIAŁ 2	
Weselne interesy	27
ROZDZIAŁ 3	
Polewka	4I
ROZDZIAŁ 4	
Pan, który bierze, co chce	53
ROZDZIAŁ 5	
Świat na ciebie czeka	7I
ROZDZIAŁ 6	
Zdrada	9I

ROZDZIAŁ 7	
Płonne nadzieje	107
ROZDZIAŁ 8	
Krew i łzy	121
ROZDZIAŁ 9	
Nieutulone tęsknoty	143
ROZDZIAŁ 10	
Zaloty i zaręczyny	163
ROZDZIAŁ 11	
Kłopoty małe i duże	187
ROZDZIAŁ 12	
Dzieci	201
ROZDZIAŁ 13	
Młodzi dżentelmeni	223
ROZDZIAŁ 14	
Rojenia	245
ROZDZIAŁ 15	
Tajniki <i>ars amandi</i>	267
ROZDZIAŁ 16	
Konsekwencje	277

ROZDZIAŁ 17	
Spuścizna	29I
ROZDZIAŁ 18	
Młodzieńczy entuzjazm	299
ROZDZIAŁ 19	
Czas szabli i pistoletów	315
ROZDZIAŁ 20	
Przysięga	333
ROZDZIAŁ 21	
Goście	345
ROZDZIAŁ 22	
Rzykant	36I
ROZDZIAŁ 23	
Plantacja i żniwo	375
ROZDZIAŁ 24	
Bolesny powrót do domu	39I

Od autorki



Drodzy Czytelnicy

Oddaję w Wasze ręce kolejną powieść z wielką historią w tle.

Na potrzeby niniejszego tekstu musiałam nieco naciągnąć fakty, które zasadniczo nie powinny mieć większego znaczenia w odbiorze całości. Otóż piękna ziemia dobczycka, na której rozgrywa się akcja większości wydarzeń, była zasiedlona przez wiele zacnych rodów, lecz nic mi nie wiadomo, aby kiedykolwiek żyli tam Zarabscy. Część dworków, które opisuję, albo jeszcze nie istniała w tamtych czasach, albo nie powstała w ogóle, a niektóre z nich, jak choćby pałacyk w Sierakowie, należały do innej rodziny. Podobnie rzecz ma się z samym miastem Dobczyce, które wówczas posiadała na własność rodzina Turnauów. Mam nadzieję, że czytelnicy pochodzący z tej części Polski wybaczą mi te zmiany.

Większość wydarzeń związanych z rzezią galicyjską faktycznie miała miejsce. Doszło do wszystkich opisywanych przeze mnie spotkań i potyczek. Uczestniczył w nich między innymi ówczesny pan na Sierakowie, baron Teodor

Przychodzki, u mnie zastąpiony postacią fikcyjną – Franciszkiem Sokołowskim.

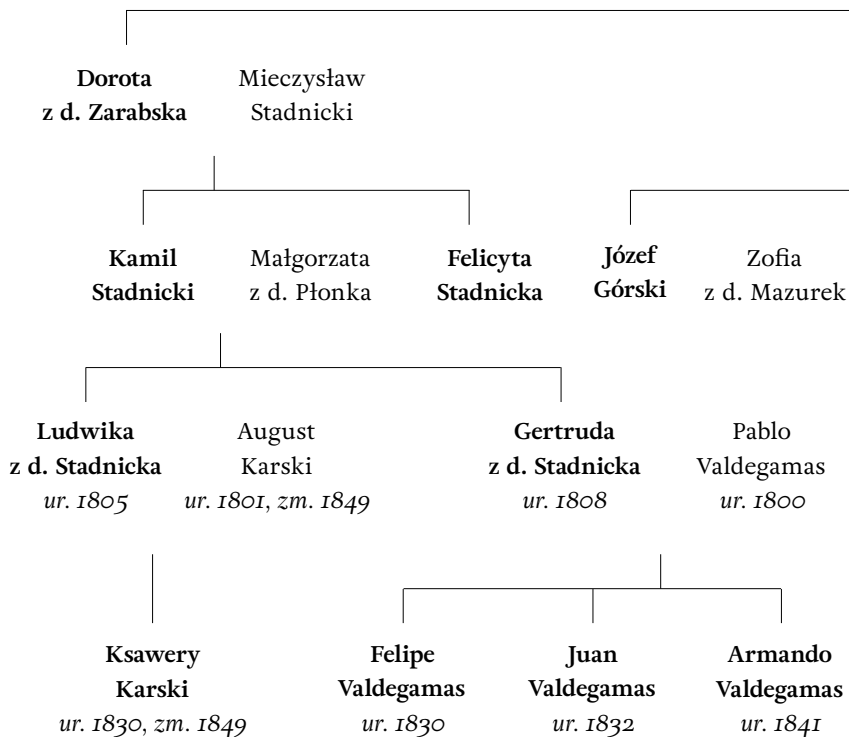
Podczas pracy korzystałam z wielu źródeł drukowanych oraz wirtualnych. Najważniejszym pośród nich była książka Pawła Figlewicza *Królewskie miasto Dobczyce. Od czasów najdawniejszych do współczesności*, którą otrzymałam w darze od bibliotekarzy z Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Józefy Bergelówny w Dobczycach.

Życzę przyjemnej lektury.

Edyta Świątek

Powiązania rodzinne bohaterów powieści





Anna
z d. Olszańska

Piotr
Zarabski

Magdalena
z d. Zarabska

Hieronim
Górski

Wincenty
Zarabski

Beata
z d. Długosz

Paweł
Górski

Joanna
z d. Hajduczek

Michał
Górski

Szczepan
Zarabski

Matylda
z d. Wójcicka

Benedykta
z d. Górski
ur. 1819, zm. 1839

Franciszek
Sokołowski
ur. 1794, zm. 1867

Cezary
Orszand
ur. 1807

Izabela
z d. Zarabska
ur. 1818

Maurycy
Sokołowski
ur. 1839

DRUGA ŻONA
Emilia
z d. Orzeszko
ur. 1834

Walery
Orszand
ur. 1842

Maksymilian
Orszand
ur. 1846

Maryla
Sokołowska
ur. 1853

Apolonia
Sokołowska
ur. 1857

ROZDZIAŁ I

Zwierciadło

Rok 1838



Cudownie było nabrać w płuca powietrza, które niesło balsamiczne ciepło, lecz nie paliło. Po upałach Andaluzji dla Gertrudy Stadnickiej-Valdegamas stanowiło to przyjemną odmianę, choć lato w Polsce także bywało gorące i rządziło się swoimi prawami. Ona jednak od dziesięciu lat, czyli od ślubu, który odbył się w październiku 1828 roku, mieszkała wraz z mężem w Sewilli, doglądając dwóch synów – owoców miłości jej oraz *conde* Pabla Juana de Valdegamasa y Martíneza.

Ach, cóż za żar uczucia połączył ich przed laty! Żar, który wciąż płonął równomiernym ogniem namiętności, który nie spalał na popiół, lecz dodawał pikanterii wspólnemu życiu.

Mimo upływającego czasu wciąż odnosiła wrażenie, że śni najpiękniejszy sen o miłości. Bo skądże ona, skromna panienka z nieco zubożałego szlacheckiego domu w kraju, który wiele lat temu zniknął z mapy świata, wzięła się na drugim końcu Europy w charakterze żony hrabiego? O takim zaszczycie nie śnili jej bliscy, gdy wraz ze swoją starszą siostrą Ludwiką Karską, jej mężem Augustem oraz ich dwuletnim wówczas

synkiem Ksawerym wybierała się w podróż po słonecznej Italii, która na zawsze odmieniła los i rzuciła ją w jeszcze odleglejsze krainy.

Gertruda pochodziła z rodu Zarabskich, którzy od pokoleń zamieszkiwali malowniczą ziemię dobczycką. Jej babka, Dorota Stadnicka de domo Zarabska, jako najstarsza spośród trojga rodzeństwa odziedziczyła niewielki majątek, w skład którego wchodziła miejscowość Skrzyńka znajdująca się pomiędzy Dobczycami a Stadnikami. Rodzice wyswatali ją Mieczysławowi Stadnickiemu. Z tego związku zrodził się Kamil Stadnicki, ojciec Gertrudy oraz Ludwika, a także Felicyna, która zamiast zamążpójścia wybrała życie zakonne. Dorota miała jeszcze młodszą siostrę Magdalenę poślubioną Hieronimowi Górskiemu – ją dobry Bóg pobłogosławił aż trzema synami i, niestety, tylko jedną wnuczką Benedyktą. To właśnie ślub Beni sprowadził Gertrudę do Polski. Benedykta, jako jedyna spadkobierczyni Górskich zamieszkujących w Dziekanowicach, miała wziąć ładny posag w postaci wsi Rudniki, co zapewniło jej lukratywny mariaż z baronem Franciszkiem Sokołowskim, dziedzicem wspaniałego dworu w Sierakowie*, który na tle skromnych stadnickich włości** jawił się jako pałac. Najmłodszym z trojga rodzeństwa Zarabskich był Wincenty. Jemu w udziale przypadło miasto

* W rzeczywistości sierakowski dwór uwieczniony na kartach powieści został wzniesiony dopiero w 1847 r. i należał do rodziny Przychodzkich. W następnych latach został znacząco rozbudowany.

** Dwór w Stadnikach został wybudowany dopiero na początku XX w. przez Michała Bednarskiego.

Dobczyce* i sporo okolicznych dóbr. Wincenty dochował się jednego syna, Szczepana, a ten z kolei córki Izabeli, obecnie najatrakcyjniejszej panny na wydaniu w całym powiecie. Spodziewano się więc, że gdy dziewczę stanie na ślubnym kobiercu, to z kawalerem o wysokiej pozycji społecznej. Na razie jednak, mimo kilku absztyfikantów, panna nie nosiła pierścienia zaręczynowego.

Zarówno Benedykta, jak i Izabela były znacznie młodsze od Gertrudy, więc w czasach wczesnej młodości dziewczęta niewiele miały ze sobą wspólnego. O dekadę starsza od kuzynek Trudzia, jak ją zwano pieśczośliwie w kręgach rodzinnych, nim została hrabiną de Valdegamas, odstawała od Beni oraz Izy. Teraz jednak upływ czasu zacierał różnicę wieku, a kobieta, rzucona kaprysem losu na obczyznę, tęskniła za swą polską rodziną. Brakowało jej mowy ojczystej w codziennym życiu, bliskości krewnych, a nawet chwil, gdy ciepłymi letnimi wieczorami całą rodziną zasiadali na oplecionym przez winorośl ganku stadnickiego dworku, by odpoczywać, oddając się miłym pogawędkom.

Ten ganek miał w sobie coś zaczarowanego i przyciągał niczym magnes. Winorośl dawała przyjemny cień, a wygodne ławeczki zachęcały do spoczynku. Przez całe lato był drugim salonem Stadnickich, miejscem gościnnym i pozwalającym na wytchnienie.

To była pierwsza od ślubu wizyta Gertrudy w gronie rodzinnym. Najpierw na przeszkodzie stanął jej stan

* W latach, gdy rozgrywa się akcja niniejszej powieści, właścicielami Dobczyc oraz zamku była rodzina Turnauów.

błogosławiony, później w rozdartej zaborami ojczyźnie doszło do niepokoju związanych z wybuchem powstania, potem znowu była przy nadziei. O ile Felipe, pierwszy z synów Gertrudy, cieszył się dobrym zdrowiem i był krzepkim chłopcem, to młodszy, Juan Carlos, wciąż niedomagał, w związku z czym lekarze odradzali hrabinie wspólną wyprawę na niemalże drugi koniec Europy. A pozostawienia chłopca pod opieką nawet najczulszej bony Gertruda nie potrafiła sobie wyobrazić. Dopiero gdy synek podrośł i nabrał witalności, można było pomyśleć o dalekiej podróży.

Wesele kuzynki stanowiło dodatkowy argument przemawiający za tym, by za cel obrać Galicję.

Wszystko należało zorganizować ze znacznym wyprzedzeniem, gdyż mieli poruszać się karawaną złożoną z koni i powozów. Stan dróg w dawnej Rzeczypospolitej pozostawiał jednak wiele do życzenia. Większość traktów wciąż była nieutwardzona i rozjeżdżona do granic możliwości. Niezwykle ważne było, aby starannie wybrać czas na podróżowanie, ponieważ jesienne deszcze oraz wiosenne roztopy zamieniały gościńce w błotne grzęzawiska, latem kurz wzbijany przez końskie kopyta wdzierał się w każdy zakamarek ekwipażu, natomiast zimą zasy i zamiecie w wielu miejscach niemal uniemożliwiały eskapadę. Jakby tego było mało, brakowało przepraw rzecznych i mostów, a te, które istniały, wołały o pomstę do nieba. Wśród Europejczyków przyjęło się nawet powiedzenie: „Polski most, niemiecki post, włoskie nabożeństwo, wszystko to błazeństwo”. Taka wyprawa mogła trwać nieznośnie długo, nawet do dwóch miesięcy, podczas których podróżnicy skazani byli na nocowanie głównie w klasztorach lub

przydrożnych karczmach. Gdy było to możliwe, zatrzymywano się u krewnych bądź znajomych albo korzystano z listów polecających i szukano wytchnienia w domach obcych ludzi.

Same niedogodności!

I jak w takiej sytuacji spełnić marzenie Gertrudy o odwiedzinach u bliskich?

Alternatywą była wyprawa okrętem z portu w Huelvie do Zatoki Gdańskiej, a stamtąd trudna żegluga kapryśną i pełną meandrów oraz odnóg Wisłą. Ewentualnie zgoła inną trasą wodną, bo z Sewilli do Wenecji lub Triestu, a później drogą lądową w stronę Krakowa. Mogliby wówczas zahaczyć po drodze o Wiedeń, na czym zależało Pablowi, który w jakiś bardzo daleki sposób był skoligacony z Habsburgami. Kiedyś próbował objaśnić żonie zawiłości genealogiczne, lecz sam się w tym wszystkim pogubił.

Trudno było jednoznacznie ocenić, która opcja jest bezpieczniejsza i potrwa krócej. Zarówno na lądzie, jak i na morzu można było spodziewać się przykrych niespodzianek. Spotkania z rozbójnikami bądź piratami. Niesprzyjającej pogody, słoty czy sztormu.

Ostatecznie Pablo zdecydował się na karawanę drogą lądową.

Początkowo był mocno sceptyczny względem planów małżonki. Chciał ją nawet powstrzymać przed wyjazdem.

– To potwornie daleko. Jesteś pewna, że podołasz?

– Ależ Pablo! Już raz pokonałam tę niekończącą się trasę, jadąc tutaj z tobą po ślubie, więc z powodzeniem mogę to zrobić ponownie.

– Wiesz, że może nam to zabrać nawet do dwóch miesięcy?

– Wiem. Ale jeśli dla ciebie kłopotem jest opuszczenie Sewilli na mniej więcej pół roku, mogę pojechać sama. Przecież dasz mi odpowiednią asystę...

– Miałbym cię puścić samą i umierać ze strachu o ciebie? Mowmy nie ma! Albo pojedziemy razem, albo wcale, choć w ogóle mi się to nie uśmiecha. Ta podróż wyczerpie nas do cna. Gdyby choć część drogi mogła się odbyć koleją! – wspominał o nowości, która z wolna opanowywała Europę. Pociągi złożone z parowozów i wagonów stanowiły przełom i pokładano w nich wielkie nadzieje, bo mogły służyć do przewozu wielu osób i towarów na znaczne odległości. Sęk w tym, że linii kolejowych było zdecydowanie zbyt mało, a ich budowa trwała nieznośnie długo. – Może kiedyś łatwiej będzie się podróżowało. Gdyby każdy kraj zainwestował w rozwój kolejnictwa, mogłabyś częściej odwiedzać bliskich, a ja byłbym spokojny, wiedząc, że masz zapewnioną wygodę i jesteś bezpieczna. Ponadto nie wiem, czy powinniśmy ryzykować. Słyszałem, że na ziemi twoich przodków trwa jakaś rebelia. Wyprawa może być karkołomna.

– Och... Najdroższy! – westchnęła Gertruda. – Powstanie narodowościowe, które zapewne masz na myśli, dobiegło końca siedem lat temu! Dodatkowo walki toczyły się nie w Galicji, lecz na terenach zaboru rosyjskiego. Tłumaczyłam ci przecież już kiedyś, co stało się z moją ojczyzną...

– A tak, tak. Coś mi się pomieszało w tej skomplikowanej historii – przyznał z roztargnieniem, usiłując zatuszować swój brak wiedzy.

W rzeczy samej wstyd mu było, że tamtego wykładu żony wysłuchał ze znużeniem i szybko o nim zapomniał. Dla niego

Polska była nieistniejącym bytem. Krajem, który dawno temu zniknął z atlasów i globusów, a ukochana kobieta, gdy brał z nią ślub, była poddaną cesarza Franciszka Habsburga*, którego trzy lata temu zastąpił na austriackim tronie jego syn Ferdynand**. Dyskusowanie z ukochaną na tematy geopolityczne nie miało najmniejszego sensu. Gertruda zaciętrzewiona była w swych przekonaniach jak chyba żadna znana mu kobieta. Zresztą kto to widział, by dama znała się na polityce i podobnych sprawach? Brr! To się wręcz nie godziło. Niewiasty nie powinny łać swych nadobnych główek równie trudnymi zagadnieniami, lecz skupiać uwagę na rzeczach pięknych i wzniosłych. Oraz na prowadzeniu domu i wychowywaniu potomstwa – przecież do tego zostały powołane!

A może ta prawidłowość nie dotyczyła wszystkich pań? Może tylko Hiszpanki były kapłankami domowego ogniska? Może Polki (hm... Jednak taki kraj kiedyś istniał, skoro w ludzkiej świadomości przetrwały jego echa) miały zupełnie inną mentalność? Wszak przyjaciele i krewni przestrzegali go przed różnicami kulturowymi, nim wziął ślub z najpiękniejszą panną, jaką spotkał w całym swoim życiu. I choć ta część żoninej natury wybitnie mu nie odpowiadała, czar, wdzięk i czułość Gertrudy w pełni rekompensowały ten mały mankament.

* Franciszek Habsburg (1768–1835) – w latach 1792–1806 ostatni cesarz rzymski, król Czech i Węgier w latach 1792–1835, pierwszy cesarz Austrii (jako Franciszek I) 1804–1835.

** Ferdynand I Habsburg-Lotaryński zwany Dobrotliwym (1793–1875) – cesarz austriacki w latach 1835–1848. W czasie jego panowania przeprowadzono uwłaszczenie chłopów i zniesiono pańszczyznę. Abdykował na rzecz swego bratanka Franciszka Józefa I.

W miarę upływu lat wspólnego życia uczył się sztuki rozmawiania z połowicą tak, by wilk był syty i owca cała. Unikał dysput politycznych, starał się je jak najszybciej ucinąć, często wbrew własnym przekonaniom przyznając rację małżonce. Byle nie przywoływać gniewu na jej śliczną twarzyczkę i nie skazywać się na pustkę cichych dni, które czasami im się przydarzały.

Kochał Gertrudę jak szalenię: całym sercem, wszystkimi zmysłami. Ta miłość nie gasła, choć czas biegł nieubłaganie, ślubna była jego obsesją i powietrzem, którym oddychał.

– Dobrze. Pojedziemy w podróż do Polski – zgodził się skwapliwie, myśląc, że przy okazji wizyty na prowincji może wybrać się również na dwór austriacki, spotkać jakichś krewnych czy znajomych, których los rozsiał po Europie. Przecież nie utknie na dobczyckiej ziemi (o święci pańscy z tymi szleszczącymi nazwami miejsc i nazwiskami!) na dobre. W ostateczności zostawi żonę i synów pod opieką jej bliskich, a sam wyprawi się do Wiednia. Bądź co bądź ukochana miała prawo tęsknić za ludźmi, wśród których dorastała. A on byłby skończonym łajdakiem, gdyby udaremniał jej jakiegokolwiek kontakty.

I tak oto po dłużej się w nieskończoność podróży przez pół Europy Valdegamasowie znaleźli się w tej zadziwiającej krainie, gdzie słońce nie paliło tak mocno jak w Andaluzji, trawa zdawała się bardziej zielona, a niebo często przybierało szarą barwę. Zasadniczo była to całkiem miła i dość rześka odmiana, więc Pablo bez kręcenia swym hrabiowskim nosem przechadzał się teraz z nadobną połowicą wzdłuż brzegów kapryśnej Krzyworzeki, stanowiącej dopływ Raby. W tym czasie

Juan Carlos oraz Felipe pozostawali pod opieką zauroczonych nimi babki Małgorzaty i ciotki Ludwiki oraz troskliwej bony towarzyszącej Valdegamasom w wyprawie do Polski.

Benedykta Górka wpatrywała się intensywnie w lustro. Kryształowa tafla odbijała nie tylko skromny paniński poik, ale również zgromadzone w nim kobiety, które pomagały dziewczynie w ślubnej toalecie, choć słowo „pomoc” było w tym wypadku dość względne, ponieważ na tę okoliczność sprowadzono z Dobczyc fryzjera, a przy wkładaniu sukni oraz kilku warstw halek i bielizny niezbędny był wysiłek dwóch służących. Damy stanowiły raczej głos doradczy i wspierały na duchu stremowaną kandydatkę do zamążpójścia.

– Ach, jakie to szczęście mieć taką śliczną figurę! – wzdychała raz po raz Ludwika Karska, która, odkąd powiła swego pierwszego i – jak sądziła – niejedynego synka, nie była w stanie odzyskać wcześniejszej wiotkiej sylwetki. Będąc brzemienią, mocno przytyła, czemu winić mogła niepoohamowane upodobanie do słodyczy. Marzyła, by podobnie jak znacznie młodsza kuzynka móc prezentować zgrabne kształty, budzące skojarzenia z eteryczną boginką. Także pragnęła niewielkich piersi, które po spłaszczeniu bardzo obciętym i gładkim stanikiem stawały się niemalże niezauważalne. Cóż... Ją matka natura obdarowała nader bujnym ciałem, choć podobnie jak absolutnie wszystkie panny wywodzące się z rodu Zarabskich miała prześliczną twarz.

Benia także charakteryzowała się nieprzeciętną urodą. Miała przepastne niebieskie oczy. Jej pukle mieniły się

odcieniami złota. Gdy dotykały ich słoneczne promienie, zdawać się mogło, iż główkę pięknej panny otacza delikatna aureola. I to chyba właśnie ten powab oraz wdzięk cudnej figurki przyciągnęły skutecznie uwagę znacznie od niej za-
możniejszego barona Franciszka Sokołowskiego, pana na Sierakowie.

Naręczonych dzieliło równo ćwierćwiecze, co właściwie nie było niczym szczególnie dziwnym. Znacznie rzadziej zawierano małżeństwa pomiędzy osobami w podobnym wieku. A Franciszek, obecnie czterdziestoczterolatek, mógł wzbudzać mocniejsze uderzenia serca wśród pań, gdyż miał przyjemną dla oczu powierzchowność.

Na jego korzyść przemawiały także piękny majątek oraz wspaniały murowany dwór.

Główne wejście do tej budowli ozdobiono sześcioma kolumnami, na których wsparto przestronny balkon. Górowały nad nim dwa piętra, choć w znacznej części budynek był parterowy. Obydwie krawędzie dwuspadowego dachu przeciętego ową nadbudową wieńczyły jaskółki, w których znajdowały się pomieszczenia rezydentów. Po drugiej stronie budynku zadaszenie nad schodami było nieco mniejsze, a balkon został zabudowany. Zdecydowanie nie brakowało tam miejsca, bo do jednego z boków dostawiono obszerną przybudówkę. To domostwo, czy może raczej pałacyk, otoczone pięknym ogrodem, wprost zapierało dech w piersiach i mogło stanowić nie lada pokusę dla każdej panny na wydaniu.

Dodatkowym, chyba najważniejszym, atutem barona był fakt, iż dorastał jako jedynak, który nie musiał spłacać żadnych krewnych. Wszystkie ciotki i kuzynki Benedykty zgodnie

twierdziły, że łatwo stracić głowę dla takiego zanego mężczyzny. Gratulowały jej świetnej partii.

– Ach, uroda, choć przemijająca, to znaczący kapitał – zauważyła ciotka Zofia, bezdzietna wdowa po Józefie Górskim, stryju panny młodej. – Przy odrobinie szczęścia pozwala na zrobienie świetnej partii. Prawda, Trudziu? – zagadnęła towarzyszącą im hrabinę Valdegamas.

Gertruda skwapliwie przytaknęła.

– To prawda. Mnie, gdym wchodziła na salony, nawet się nie śnił tak wyborny mariaż – przyznała.

– Mąż wciąż patrzy w ciebie niczym w obrazek. Ile to już lat minęło od waszego ślubu? – drążyła Górka.

– W październiku będzie dziesięć.

– Ach, dziesięć! Jakże ten czas szybko nam upływa – westchnęła matka panny młodej, Joanna Górka de domo Hajduczek, a potem pieszczotliwie pogładziła córkę po policzku. – Mam nadzieję, moje dziecko, że nałężycie docenisz szczęście, które właśnie ci się szykuje.

Panna młoda, nieco oszołomiona, milczała. Choć była pewna miłości Franciszka, wciąż zmagala się z wątpliwościami, czy słusznie czyni, wychodząc za niego za mąż. Bo mimo wszystko dwadzieścia pięć lat to bardzo duża różnica wieku. Jej narzeczony był tylko trochę młodszy od papy. Owszem, podobał jej się jako mężczyzna, choć płonila się na samą myśl o tym, co ją czeka w małżeńskiej alkowie. Na razie nie wyobrażała sobie momentu, gdy zostanie sam na sam z mężem. Choć mama starała się dość szczegółowo objaśnić, czego od Beni może oczekiwać Franciszek, w dziewczęcej głowce nie chciało się to pomieścić. Wychowywana w cnocie i czystości,

nieznająca dotyku męskich rąk ani nawet smaku pocałunków, miała za kilkanaście godzin wejść w zupełnie nową rolę.

– Pan Sokołowski świata nie widzi poza naszą Benią – powiedziała Izabela Zarabska, najmłodsza spośród zgromadzonych w pokoju dam, jedyna panienska, pełniąca funkcję drużyny. – Marzę o tym, by i mnie ktoś równie szczerze pokochał. Nie tylko dla Dobczyc i przyległości, ale przede wszystkim dla mnie samej – wyznała.

– Przyjdzie czas i na to – odezwała się jej matka, Matylda Zarabska. – Tylko nie kręć nosem na każdego kawalera, który zaczyna się starać o twoją rękę. Musisz komuś dać szansę, by nie zostać starą panną. Ach! To byłby wstyd nie do uniesienia, bo jesteś posażna, a i urodę wzięłaś po naszej babuni Annie. Zachowuj więc rozsądek, szczególnie dziś. Bo choć to święto Benedykty, nie wiadomo, czy akurat za kilka godzin nie poznasz mężczyzny godnego uwagi. Wszak pan Sokołowski zaprosił na swe zaślubiny wielu znamienitych gości, Żeleńskich z Grodkowic, chociażby. Albo hrabiostwo Orszandów spod Bochni.

– O to, to! Belluniu! – podchwyciła ciotka Joanna. Sama uszczęśliwiona była wyborem mariażem swej córki, nie więc dziwnego, że podobnych zaszczytów życzyła ostatniej w rodzie pannie na wydaniu, choć zamążpójście Izabeli miało oznaczać kres rodu Zarabskich. – Wiem, że hrabiemu będzie towarzyszył syn Cezary. Jednak – zaakcentowała mocno to słowo. – Bardzo atrakcyjna partia.

Nawet jeśli chciała powiedzieć cokolwiek więcej, nie była w stanie, bo kaszel udaremnił jej dalszą wypowiedź.

– Gdzie tam mnie na hrabiowskie salony – zbagatelizowała uwagę Joanny Izabela, choć przeczuwała, że gdyby tylko

młodszy Orszand okazał jej odrobinę zainteresowania, matka oraz ciotki szybko zaczęłyby zastawiać nań sidła.

Osobiście nie miała okazji poznać owego pana, ale sporo już słyszała na temat bajecznie bogatego dzentelmena. Wiedziała więc, że nawet jeśli kawaler nie przypadłby jej do gustu, jakiegokolwiek marudzenie czy kręcenie nosem nie byłoby brane pod uwagę przez rodziców.

Żyła w świecie, gdzie przy zawieraniu małżeństw miłość była kwestią co najwyżej drugoplanową. Liczyły się pozycja społeczna, prestiż, nazwisko. Zamążpójście stanowiło cel sam w sobie, dla którego warto było ponieść wiele wyrzeczeń. Byle nie zostać starą panną, skazaną na łaskawy chleb w cudzym domu albo – o zgrozo! – utrzymywanie się z pracy. To dopiero była deklasacja! Nie mówiąc o wstydzie dla panny oraz jej rodziny. Nic więc dziwnego, iż porywy serca pozostawiano romantycznym poetom, którzy tak pięknie pisali o wzniosłych uczuciach i pośród których prym wiedli Słowacki, Mickiewicz czy najmłodszy w tym zacnym gronie Krasiński. Od dłuższego czasu na salonach, gdy nie snuto ponurych wspomnień o klęsce zrywu powstańczego, zaczytywano się w finezyjnych strofach, a piękna deklamacja *Lilii* lub *Świtezianki* wzbudzała głośny aplauz.

Bella, jak zwano nader urodziwą pannę, znała te strofy na pamięć i tak żywo potrafiła je zaprezentować, że zasłuchana publiczność milczała oczarowana jej sztuką tylko po to, by na ostatek domorosłą artystkę nagrodzić entuzjastyczną owacją. Izabela, świadoma swego talentu, wdzięku i urody, czarowała mężczyzn, a następnie przyjmowała ich hołdy ze skromnie opuszczonymi oczętami i dłońmi splecionymi w pozie pełnej niewinności.

– Kochana! Któż, jeśli nie ty, miałby podbijać hrabiowskie salony? – obruszyła się Karska. Trzydziestotrzyletnia kuzynka nigdy nie wahała się mówić tego, co myśli, znana była ze swej popędliwości, czasami wręcz niegodnej damy z wyższych sfer. To ona coraz częściej nadawała ton towarzystwu, choć nie należała do szczególnie majątnych. Miała jednak ogromny dar przekonywania i liczone się z jej zdaniem. Mówiło się wręcz, że trzęsie wszystkim w Stadnikach, Skrzynce oraz włościach należących do męża. Ba! Po ślubie z Augustem wymogła na nim, aby to on przeprowadził się do jej rodzinnych Stadnik. Wśród elit liczone się z jej opiniami. I jeśli ona namaściła Bellę na hrabinę, to kto wie, czy nie kierowała nią intuicją?

Podczas gdy ciotki i kuzynki niczym stado kwok rozprawiły nad przyszłością Izy, toaleta Benedykty dobiegła końca. Uroczą i mocno stremowaną kandydatką do stanu małżeńskiego stanęła przed lustrem, by obejrzeć się w całej okazałości. Miała na sobie suknię w kolorze kremowym, ozdobioną delikatnymi pastelowymi haftami. Szpiczasty dekolty wykończony był bertą, czyli szeroką plisą z kunsztownej koronki. Długa spódnica sięgała jej stóp obutych w aksamitne pantofelki. Bardzo obcisły i gładki stanik uwydatniał smukłą kibić i spłaszcział biust, dzięki czemu Benia wyglądała na jeszcze młodszą, niż była w rzeczywistości, niemalże na podlotka. Upięte po bokach angieły sięgały ramion o spadzistej linii. Włosy fryzjer ozdobił drobnymi kwiatuśkami z aksamitu w tym samym kolorze co strój panny młodej.

Pozostało jeszcze tylko upięcie welonu, lecz wcześniej dziewczyna zapragnęła sprawdzić, czy uczesanie jest dość staranne. Sięgnęła więc po lusterko leżące na toaletce, lecz

uczyniła przy tym gest nader niezgrabny. Może z nerwów i przejęcia, a może ze zwykłej nieostrożności, niewystarczająco mocno ujęła rączkę przenośnego zwierciadła. Przedmiot upadł z trzaskiem, dość pechowo, bo nie na dywan, lecz na gołą podłogę. Ku zgrozie zgromadzonych kobiet szkło rozprysło się na drobne kawałki.

– O matuchno! – jęknęła przerażona Matylda, bojąc się dodać cokolwiek więcej.

– Toż to pewne nieszczęście – wyszeptwała Zosia, zaciskając dłonie w pięści i przysłaniając nimi usta.

– Siedem lat nieszczęścia – powiedziała w ślad za nią *madame* Valdegamas.

Zaraz posypały się komentarze dotyczące innych równie niefortunnnych zdarzeń oraz ich konsekwencji. Benia tkwiła nieruchomo w miejscu, słuchając tego z rosnącym przejęciem i lękiem o własną przyszłość.

– Jakie tam nieszczęście? – zaperzyła się Karska. Chyba jako jedyna zachowała przytomność umysłu i zamierzała podnieść na duchu pannę młodą, która po zбиciu lustra stała niczym biblijna żona Lota przemieniona w słup soli. – Nie słuchaj się ciotek, kuzyneczko! Szkło się tłucze na dobrą wróżbę!

– Otóż to! – wtrąciła się z miejsca Joanna, obejmując córkę ramieniem. Znowu zaniósł się kaszlem, lecz tym razem szybko nad nim zapanowała. – Nie można wierzyć w zabobony! Marta zaraz uprzątnie odłamki, a ty nie zwracaj sobie ślicznej główki bredniami. Dziś jest twój wielki dzień. Nie pozwolę, by drobna nieuwaga popsuła ci nastrój. Głowa do góry, dziecińko! No... Rusz się, nie można tak tkwić w miejscu. Zostało nam upięcie welonu. A wy – zwróciła się do zgromadzonych

w pokoju dam – nie straszcie mojej dziewczynki. Lepiej spójrzcie za okno. Czyż tak piękne i słoneczne przedpołudnie nie stanowi prawdziwie dobrej wróżby? – skwitowała, choć to właśnie ona przed momentem mówiła o przesądach.

ROZDZIAŁ 2

Weselne interesy



Po niemiłym incydencie z lustrem Izabela wciąż odczuwała niepokój. Dalekowzrocznie martwiła się o przyszłe szczęście kuzynki poślubiającej człowieka starszego od niej o ćwierć wieku. Żywiła także obawy o to, czy uroczystości weselne przebiegną bez zakłóceń i w miłej atmosferze.

Wbrew jej obawom przysięga wybrzmiała prawidłowo, nowożeńcy wymienili się obrączkami i wśród wiwatów opuścili maleńki, bardzo stary dziekanowicki kościółek pod wezwaniem Świętego Mikołaja i Świętej Marii Magdaleny, ufundowany w zamierzchłych czasach przez Kazimierza II Sprawiedliwego*. Stamtąd powozami i bryczkami udali się na przyjęcie do domu rodzinnego młodej mężatki, z którego miała się przeprowadzić do Sierakowa.

Nieco uspokojona drużna mogła w końcu oddać się weselnym przyjemnościom: biesiadowaniu oraz tańcom.

* Ocenia się, że wzmiankowany kościół został wzniesiony w latach 1150–1190.

A dżentelmenów chętnych do zabawy nie brakowało, ze swadą zabawiali posażną i urodziwą pannę salonowymi rozmówkami, oceniając ją jako wyjątkowo łakomy kąsek do schrupania.

Przypatrywał się temu stojący przy filarze mężczyzna, którego przedstawiono jej przed obiadem. To był ów słynny Cezary Kazimierz hrabia Orszand, atrakcyjny kawaler do wzięcia. Już szeptano o tym, że stanowiliby wyborną parę: ona jedynaczka, przyszła dziedziczka Dobczyc i Zarabia, on także jedynak, potencjalny sukcesor ziem podbocheńskich, graniczących z dobrami Żeleńskich z Grodkowic. Sęk w tym, że Izabeli nie wydawał się zbyt pociągający, bo nie dość, że jakoś nieprzyjemnie mu z oczu patrzyło, to jeszcze kompletnie nie był w jej typie. Przeciętnej postury blondyn z niebieskimi tęczęwkami, rdzawym wąsem i zbyt bujnymi bokobrodami nie wzbudzał żywszych uderzeń serca.

Jej podobali się bruneci, tacy jak inny kawaler.

Marcjan Władysław Żeleński*, sąsiad Orszandów, także był gościem weselnym wraz z żoną Kamilą** oraz całą swoją rodziną, spośród której wyróżniał się dość przystojny młodzian, jakiś dalszy kuzyn Marcjana. Ponoć był to zubożały szlachcic, usilnie poszukujący zamożnej kandydatki na żonę, by jej posagiem spłacić długi ciężące na majątku, który miał wziąć po rodzicach. Przed nim przestrzegano Izabelę pokątnie, by nie padła jego ofiarą. A ulec oczarowaniu byłoby łątwo, gdyż przystojny był jak mało który mężczyzna. Miał

* Marcjan Władysław Żeleński (1804–1846) – właściciel Grodkowic, ojciec kompozytora Władysława i dziad literata Tadeusza Boya-Żeleńskiego.

** Kamila Russocka z Brzezia h. Zadora (1814–1881).

bujną ciemną czuprynę, która gęstymi lokami opadała na wysokie czoło. Jego smoliste oczy zdawały się przewiercać Izę na wylot, ilekroć ich spojrzenia się skrzyżowały. Wysoki, postawny, a przy tym zwinny w ruchach, wyglądał na człowieka, któremu nieobca jest konna jazda i zabawa szabelką. Podobał się paniom, chętnie szły z nim w tany. Izabela także miała przyjemność płasania z Bogumiłem Kowalskim. A gdy unosili się na falach walca, wciąż śledziły ich natrętne oczy Cezarego. Ten jednak nie kwapił się, by jak inni adoratorzy zabiegać o względy Izy, poprzestając jedynie na obserwacji.

Może nie jest dość śmiały? – przemknęło przez myśl Zarabskiej, gdy kolejny raz podchwyciła jego wzrok. Cóż, gdy jego wyraz twarzy przeczył tej teorii, był bowiem dość zuchwały, jakby mężczyzna w milczeniu rzucił jej jakieś wyzwanie.

A może irytował go tłum gromadzący się u jej boku za każdym razem, gdy robiła sobie przerwę od tańców? Próżno byłoby dociekać. On po prostu tkwił nieruchomo w raz obranym miejscu i patrzył, choć wciąż rozpraszano jego uwagę. Podchodzili doń inni mężczyźni, zagadywali. To kogoś mu przedstawiano. Niewątpliwie był człowiekiem, który mógł cieszyć się zainteresowaniem otoczenia, być może z uwagi na tytuł i posiadany majątek.

Ach, te pieniądze! To one rządziły światem. Nawet w mocno znekanej przez panowanie Austriaków Galicji i Lodomerii liczyli się ci, którzy zgromadzili ich wystarczająco dużo, by prowadzić rozległe interesy, wieść życie na godnym poziomie i bawić się – mimo wszystko: mimo utraconych nadziei żywionych w związku z Napoleonem Bonaparte oraz pokładanych w dwóch nieudanych zrywach narodowościowych.

Ba! To ich szczodrości niejeden powstaniec zawdzięczał konia i wyposażenie. I to w ich salonach najczęściej powracał temat wyrwania się z jarzma niewoli oraz bardziej sporna kwestia uwłaszczenia chłopów i wiążących się z tym konsekwencji. Nuda!

Te same pieniądze na swoistej giełdzie matrymonialnej stanowiły o być albo nie być panny na wydaniu. Lepiej było mieć zacny posag niż najcudniejszą urodę, choć ta ostatnia także mogła pomóc w znalezieniu dobrej partii. I jeszcze liczyło się nazwisko. Miało być piękne, szlacheckie, najlepiej herbowe, bo to mogło oznaczać nobilitację dla tych kawalerów, którzy mieli majątek, lecz do szczęścia brakowało im tytułu. Niejeden zamożny kupiec pokusił się o ślub z panną zagrodową, byle dodać rangi swym interesom. Sama uroda była mało znacząca, przemijała, nie dając w zamian nic prócz utraconych marzeń.

Muzyka ucichła, lecz tylko na krótką chwilę. Oto wyszedł przed orkiestrę Marcjjan Żeleński i poprosił zgromadzonych o uwagę.

– Drodzy gospodarze, przyjaciele i sąsiedzi – przemówił. – Nie musiałem długo namyślać się nad tym, w jaki sposób uczcić dzisiejsze piękne wydarzenie. Natchnęła mnie chyba sama Euterpe, ulubiona przeze mnie muza nie tylko poezji lirycznej, ale również muzyki. Zapewne ona nuciła mi na ucho dźwięki, które postanowiłem uwiecznić na papierze nutowym. Nadobna pani baronowo, na pani cześć pozwoliłem sobie skomponować tego oto walca – zwrócił się wprost do Benedykty.

Pani młoda klasnęła w dłonie z uciechy, słyszała już wcześniej o uzdolnieniach muzycznych Żeleńskiego.

– Wielką mi pan sprawia przyjemność. Proszę zatem zaprezentować swój utwór!

Cezary Orszand istotnie z uwagą przypatrywał się pannie Zarabskiej. Wiedział, że jest posażna, choć przy jego zamożności było to zaledwie fraszka. Bo i na cóż Orszandom zamek w Dobczycach, którego już nie warto podnosić z ruiny? Cóż z miasteczka bardziej rzemieślniczego niż kupieckiego? Cóż z areалу nieustannie zalewanego przez Rabę? Z kilku wiosek, których poletka rozrzucone były wśród wzgórz? Owszem, od przybytku głowa nie boli, więc warto byłoby włączyć i to do już posiadanego majątku, choć owa zdewastowana pozostałość po dawnej świetności przyprowadzała go o lekkie ómienie w skroniach, bo ruina mogła stanowić kłopot. Ale przy tym wszystkim panna była niczego sobie, by nie rzec, iż nieprzeciętnej urody. Stanowiłaby więc smakowitą okrasę dla tych nieco skamieniałych kąsków, które wniosłaby w posagu. Zalecać się jednak nie myślał. Był ponad romantyczne bzdury. Tacy jak on po prostu brali to, na co mieli ochotę. Wszak gdyby się zdecydował, Zarabscy nie odmówiliby mu córki, choć pewnie nie obyłoby się bez skowytu, że ostatnia z rodu, że nazwisko przepadnie. Bo to oczywiste, że on nie przyjąłby tak pospolitego miana, aby się przypochlebić teściom. Wziąłby tylko dziewczynę i posag.

Pora była odpowiednia, by się żenić. Rodzice już od dłuższego czasu raili mu taką czy inną szlachciankę. Jeszcze do niedawna żalowali, iż Marcjan Żeleński herbu Ciołek nie jest po prostu Marcjaną, wówczas sprawa byłaby względnie prosta

dla obu rodów, choć do rzadkości należały związki, w których żona byłaby starsza od męża. Ale nie na takie rzeczy przy-
mykało się oko. On jednak miał to szczęście, że nie musiał ulegać niczyjej presji, sam mógł sobie wybrać towarzyszkę życia. Czemu więc taka dama nie miałyby być również ozdobą salonów w ich rodowym pałacu?

Zmarszczył brew, widząc, jak panna kolejny raz rusza w tany z uchodzącym za łowcę posagów Kowalskim. Znał Bogumiła i wiedział, że ten szuka pieniędzy na załatwienie budżetu zrujnowanej rodziny. Gardził takimi jak on. Odwrócił się tyłem. Dość już się napatrzył na Izabelę Zarabską. Później miał z nią zatańczyć, na razie zamierzał wypić kieliszek brandy z jej ojcem i delikatnie wybadać przy tym grunt, choć nie przypuszczał, by Szczepan odmówił mu ręki swej jedynaczki.

Czy Bogumił stanowiłby dla niego jakąkolwiek przeszkodę? Wątpił. Na pewno Kowalski nie był kimś, dla kogo warto wy-
ciągać szablę z pochwy lub nabijać pistolet. Cezary był głęboko przekonany, że potencjalnego rywala pozbędzie się w łatwy sposób, bez zwracania sobie głowy pojedynkami.

Zarabski, gdy tylko rzeknę słowo na ten temat, na pewno dopilnuje, by wokół córki nie kręcił się żaden chłystek – pomyślał butnie.

– Duszko, chyba mam dobre wieści.

Głos męża wyrwał z zadumy Matyldę Zarabską, która z czujnością sępa przypatrywała się zabawie córki. Może nie było to przyjęcie na miarę balów odbywających się w Krakowie, czy choćby nawet w bardziej prowincjonalnych Myślenicach albo Wieliczce, lecz i tak cieszyło ją powodzenie urodziwej

dziewczyny wśród kawalerów z okolicznej socjety. Żywiła nadzieję na rychłe zaręczyny Belli, czas był ku temu odpowiedni, niedawno młódka skończyła dwudziesty rok życia. Powinna więc w ciągu najbliższych dwóch, góra trzech lat zawrzeć związek małżeński, zanim zagrozi jej wstydlive staropanieństwo.

Kobieta spojrzała z zainteresowaniem na Szczepana. Jej uwadze nie umknęło, że nieco wcześniej mąż odszedł do sąsiednich pomieszczeń z młodszym hrabią Orszandem. Matczyne serce od razu zaczęło mocno łomotać.

Czyżby?

– Opowiadaj, Szczepciu, nie trzymaj mnie w niepewności – powiedziała cicho, ledwo panując nad mimiką, bo jej kąciki ust same parły ku górze, a ona nie chciała ujawniać swych oczekiwań choćby cieniem uśmiechu. – Czy to ma coś wspólnego z Orszandami i naszą Bellą?

– Owszem. Zdaje się, że Izabela wpadła w oko Cezaremu. Niby zagadnął mnie wpierw o interesy, o to, jak sobie radzą rzemieślnicy w Dobczycach i czy latoś spodziewamy się dobrych plonów owsa. Oraz czy mamy dobre przychody z propinacji*. Trochę się obawiałem, gdy o to zagadnął, czy zaraz nie zaczniesz kręcić nosem na pijaństwo chłopów, ale nie! No i jakoś tak gładko dotarliśmy do tego, że właściwie Dobzycyce i przyległości przeznaczyłem na posag dla Izy, a tymczasem dokładam starań, by te dobra były jak najlepiej zarządzane. Wąs mu się nieco uniośł, gdym to powiedział. Zatem dodałem

* Propinacja – wyłączne prawo właściciela dóbr ziemskich do produkcji i sprzedaży piwa, gorzałki oraz miodu w obrębie jego dóbr, a także obowiązek poddanych mu chłopów do zakupu tych trunków w dworskiej karczmie.

do tego, że Izunia jest przecież jedynaczką i po naszej śmierci jej majątek wzrośnie o to, co pozostawimy jako schedę.

– Bella sroce spod ogona nie wypadła.

– Ano nie. Zresztą nadmienilem o przymiotach naszej dziewczynki, choć pewnie ty zrobiłabyś to i piękniej, i precyzyjniej. Ale napomknąłem mu, że nauczona jest posłuszeństwa, że ma anielską cierpliwość, że od dawna sposobiona była do zarządzania dworkiem i służbą. Wspomniałem też o salonowych fraszkach, lekcjach francuskiego, malowaniu akwarelami i haftowaniu. I jeszcze o metrze, który uczył ją tańca. Na to kawaler odparł, że przyjrzał się już Belli i faktycznie zauważył, iż na parkiecie porusza się z gracją i sprawia wrażenie lekkiej niczym łabędzi puch. Dopytywał, nie wiedzieć czemu, o Kowalskiego i innych ewentualnych adoratorów Izy.

– Och! Kowalski! – westchnęła Zarabska. – Płacze się niepotrzebnie wokół naszej córki. Niemalże nie odstępuje jej na krok, choć poświęcił odrobinę uwagi również innym pannom. Muszę przestrzec Bellę przed zbytnią poufałością z tym panem, bo wygląda mi na łowcę posagów.

– Otóż to. Ja nie myślę patrzeć z założonymi rękami, jak naszą krwawicą pokrywa się niefrasobliwie uczynione długi – zaperzył się Szczepan. – Matyldziu, ty miej oko na to, co się dzieje. Bo choć Orszand się nie zadeklarował, kto wie, czy Izabeli nie szykuje się piękna przyszłość. Nie możemy sobie pozwolić na najmniejszą wpadkę w sytuacji, gdy zainteresował się nią sam młodszy hrabia.

– Bądź pewny, że zadbam o interesy naszej jedynaczki – odparła skwapliwie ślubna, marszcząc przy tym brwi, bo akurat w tej chwili Izabela znowu ruszyła w tany z Bogumiłem.

Tylko obawa przed skandalem zatrzymała ją w miejscu, bo najchętniej rozdzieliłaby od razu tych dwoje. Sęk w tym, że to mogłoby się skończyć w sposób nader niepożądany i w rezultacie córka zostałaby nie hrabiną Orszand, lecz zwykłą Kowalską. Nawet nie herbową. A rodzinne dobra, zamiast rosnąć w siłę, zapewne mocno podupadłyby pod nieudolnym zarządem. Z dwojga złego lepiej było poświęcić herb oraz piękne nazwisko dla tytułu, bogactwa i zaszczytów, niż liczyć na to, że Kowalski stanie się Zarabskim albo chociaż człowiekiem dwojga nazwisk, dzięki czemu ród może by przetrwał, lecz prawdopodobnie i tak poszedłby na zmarnowanie. No i wreszcie czy małżeństwo z tak pospolitym człowiekiem uratowałyby herb, który był przecież dziedziczony z ojca na syna, ewentualnie z ojca na córkę? Czy w takim – nie daj Boże! – wypadku mógłby przejść na kolejne pokolenia?

– Taniec z panną to prawdziwa przyjemność. Jeszcze nigdy nie miałem równie zgrabnej i lekkiej partnerki, a przy tym tak urodziwej, że cud, iż nie zmyliłem kroków, narażając się na śmieszność w tych ślicznych oczkach urodziwej boginki – przemówił Bogumił, gdy wraz z Izabelą wirował na parkiecie salonu w Dziekanowicach.

– Tak tylko pan prawi – odparła Izabela nieco kokieteryjnie, na wpeł opuszczając przy tym skromnie powieki, dość nisko, by nie mógł spojrzeć w niebieską otchłań jej tęczówek, lecz wystarczająco wysoko, aby nie pogubić się wśród tancerzy lub by nie nadepnąć niechcący na czyjąś suknię. – Słyszałam, że pan był w wielkim świecie i w znamienitych salonach.

Zapewne z niejedną boginką miał pan do czynienia. Dworuje pan sobie z prowincjuszki.

W rzeczy samej Bogumił często bawił w eleganckim towarzystwie, hulając ponad stan i trwoniąc resztki nędznego kapitału. Brylował wśród elit, rozglądając się pilnie za damą, której posag zapewni mu przyszłość. Miał wprawę w czarowaniu naiwnych dziewczątek i tylko czujność matek strzegących swych latorośli udaremniała jego dotychczasowe zachody. Ale wielu już złamał serce, z wieloma wymienił pukiel włosów, sekretny liścik, bądź wymknął się na potajemną schadzkę.

Cóż, w Krakowie był już spalony. Tam przejrzano jego zamiary na wylot.

A nuż poszczęści mu się z Zarabską?

– Gdzieżbym śmiał dworować? Panno Izabelo! Trzymać pannę w ramionach to tak, jakby na mej dłoni przysiadł barwny motylek. Albo jakbym dzierżył kwiat wonnej lilii. Mam duszę romantyka, nade wszystko cenię urok chwil takich jak ta. A przy panny urodzie błedną gwiazdy na niebie, a róże płonią się ze wstydu z braku powabu.

– Pan lubi poetów? – zagadnęła, wyczuwając w nim pokrewną duszę, bo i ona była romantyczką. Subtelną marzycielką szukającą głębokiej miłości. Ufającą, że można związać się świętym węzłem małżeńskim z kimś, kto wzbudza szybsze uderzenia serca, że można żyć skromniej, karmiąc się uczuciami. W pogardzie miała wartości, które starała się zaszcześcić w niej matka. Nie uważała, by przy wyborze męża należało się kierować głównie rozumem. Wszak była zamożną dziedziczką. Przyszłą panią na Dobczycach, posiadaczką romantycznie zrujnowanego zamku, u którego podnóża szemrała srebrzysta

wstążka Raby. Czyż mając w posiadaniu miasto i kilka wiosek, nie da się godnie egzystować z mniej zasobnym małżonkiem? Czyż nie było jej stać na to, by pójść za głosem serca? Na przykład ciotkom, dziadkom i tradycjom rodzinnym? Wszak Zarabscy i tak już byli na wymarciu, bo to jej ojciec był ostatnim żyjącym potomkiem rodu. Wraz z nim przepadnie nazwisko, bo prawdopodobieństwo, że rodzice dochowają się syna, było znikome i nieustannie malało. Matka przekroczyła już czterdziesty rok życia, ojciec dobiegał pięćdziesiątki. Los obdarował ich tylko Izabelą, na pewno zdążyli się z tym pogodzić.

A może właśnie ktoś taki jak Bogumił przyjąłby nasze nazwisko? – przemknęło jej przez myśl.

Choć znała Kowalskiego zaledwie parę godzin, odnosiła wrażenie, że zna ją od zawsze, że od wieków połączeni są płasem, muzyką i poezją.

Jakby w odpowiedzi na jej przemyślenia, kawaler znowu przemówił:

*– Powiedz mi, piękna, luba dziewczyno / Na co nam te tajemnice. / Jaką przybiegłaś do mnie drożyną? / Gdzie dom twój, gdzie są rodzice?** Rad bym się pokłonił panny rodzinie i poprosił o zgodę na to, byśmy się mogli widywać.

– Och... Doprawdy? – westchnęła, a jej serce rozkosznie zatrzepotało.

Może zdołałaby przekonać mamę i papę, że niekoniecznie powinna wychodzić za mąż za jakiegoś okropnego bogacza, który w mariażu z nią dostrzeże kolejny dobry interes? Może

* Fragment utworu *Świtezianka* z tomu *Ballady i romanse* Adama Mickiewicza. Wydawnictwo Książkowe 1Bis, Warszawa 1996 r.

gdyby rzucili na szalę wagi szczęście jedynej i ukochanej córuchy oraz pugilares wypchany banknotami, to jednak przewałyby tkliwość?

Nic więcej nie zdążyła powiedzieć, gdyż walc dobiegł końca. A ponieważ nie zanośliło się na to, by muzycy najęci na tę okoliczność mieli od razu zagrać kolejny utwór, Bogumił podał Izabeli dłoń, aby odprowadzić panienkę na kanapę. Tam zresztą zamierzał również dotrzymać jej towarzystwa, skoro już ją sobie upatrzył. Doskonale wiedział, jak się zdobywa serca niewinnych dziewczątek, jak należy zabiegać o ich uwagę, jak swym zainteresowaniem rozbudzić nadzieję na więcej.

Już zaczynał wcielać w życie swe zamiary, już osaczał Bellę romantycznymi bzdurami, które ślina przynosiła mu na język z zaskakującą łatwością, gdy nadszedł cerber w postaci *madame* Matyldy Zarabskiej.

– Bellu, pozwól, kochanie. Ciocia Zosia się o ciebie dopytuje – przemówiła kobieta, omiatając mężczyznę nieprzychylnym spojrzeniem.

Panienka posłusznie wstała i podreptała za matką.

– Nie powinnaś tak wiele uwagi poświęcać jednemu kawalerowi – syknęła Matylda, gdy znalazły się w bezpiecznej odległości. – A już na pewno nie takiemu jak Kowalski!

– Ależ, mamó! – jęknęła dziewczyna. – Co ci nie odpowiada w tym panu? Jest elokwentny, wykształcony, bywały w świecie...

– Jest bankrutem. – Matka natychmiast ucięła jej zachwyty. – To łowca posagów. Zosia mnie przed nim przestrzegła.

Słyszała to i owo na temat tego człowieka. Szuka naiwnej gąski z pieniędzmi, bo tylko to może odwlec jego nieuchronną ruinę. Odwlec, a nie zapobiec upadkowi. Nie chcę więc słyszeć nawet słowa na jego temat. Nie życzę sobie też widzieć kolejnych wspólnych tańców. Dziecko! Jeśli Bóg nam pobłogosławi, czeka cię znacznie lepsza przyszłość.

– A może ja nie chcę przyszłości u boku człowieka, dla którego będę wyłącznie interesem? Może jeszcze kogoś, kto będzie stary jak Sokołowski? Albo, co gorsza, koszmarnie brzydki?

– Kto mówi, że chodzi tylko o majątek? – obruszyła się Matylda. – Może jest jakiś dżentelmen, bajecznie bogaty i o przyjemnej powierzchowności, w wieku stosownym do małżeństwa, który zachwycił się tobą, a nie korzyściami, które osiągnąłby przez mariaż?

Izabela nieznacznie wzruszyła ramionami. Przed spieraniem się z matką powstrzymywała ją obawa, że ktoś mógłby je usłyszeć. A ponieważ była panną na wydaniu, kompromitacja była ostatnią rzeczą, której potrzebowała. Pomyślała jednak, że gdy już umilknie weselny zamęt, spróbuje przekonać rodziców, by pozwolili jej samodzielnie wybrać mężczyznę, z którym spędzi resztę życia. A Bogumił, skoro już zostali sobie przedstawieni i zapalali do siebie wielką wzajemną sympatią, na pewno znajdzie sposób na to, by zagościć w jej domu.

A może to nie sympatia, lecz rodząca się miłość?

Przez resztę weselnej nocy Szczepan i Matylda czuwali nad tym, by Kowalski nie zaplątał się w pobliże ich córki. Odsyłali ją na parkiet choćby z wujami, to znowu w tany brał ją ojciec.